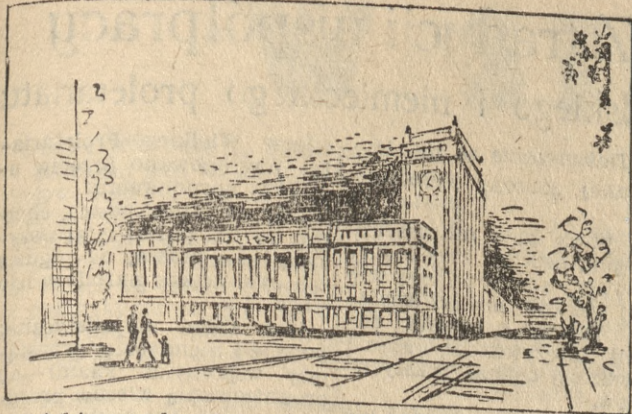




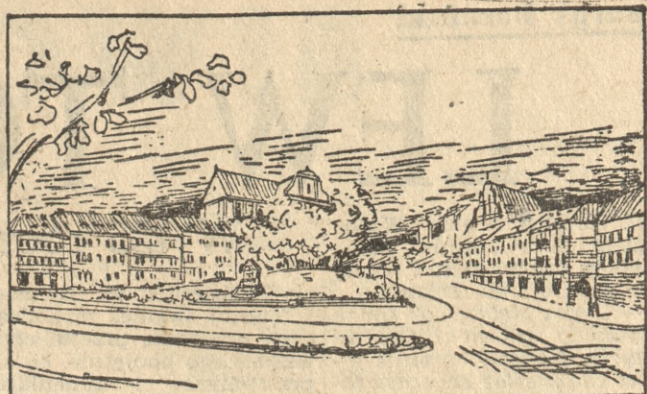
Projekt gmachu Prezydium WRN według opracowania z 1953 r. Autorzy: inż. arch. J. Wellenger, J. Pytlński, W. Wojciechowski.

SNOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY DODATEK „GŁOSU”

Rok IV - numer 37

Niedziela, 6 IX 1953



Widok na wzgórze Wójciecha od strony południowej al. Marcinowskiego. Projekt zespołu inż. arch. St. Siońskiego.

KSZTAŁTY PRZYSZŁOŚCI

Kilka pokoi połączonych sta-
le otwartymi drzwiami. Na
ścianach, na stołach — mapy
i plany. Nad stołami pochyleni
ci, którzy przyszłości Poznania
nadają realne kształty — pra-
cownicy „Miastoprojektu”.

Spojrzałem na nich z zadro-
ścią. Co za duma musi ich prze-
pełniać, ile zadowolenia musi
im sprawiać praca. Bo też za-
danie, jakie przed nimi stoi go-
dne jest pozazdrościć: projek-
towanie nowego, do gruntu
zmienionego Poznania, w któ-
rym odbudowane i zachowane
zostaną historyczne akcenty ur-
banistyczne, a jednocześnie
wszystko, co powstanie, będzie
na wskroś nowoczesne, obliczo-
ne na maksymalne zaspokojenie
materiałnych i kulturalnych po-
rzeb przyszłej, 600-tysięcznej
rzeszy mieszkańców. Po raz pier-
wszy w historii ci architekci
mogą tak projektować, by na
plan pierwszy wysuwał się czło-
wiek i jego potrzeby. Nie czło-
wiek — uprzywilejowana jed-
nostka, przedstawiciel rządzą-
cej mniejszości, jak to było w
całej dotychczasowej historii
miasta, ale ludzie jako masy,
ogół pracujących, wszyscy, któ-
rzy drogą rewolucyjnej przemia-
ny ustroju stali się dziś współ-
twórcami socjalistycznej przy-
szłości i których stałe rosnące
potrzeby muszą być zaspokojone.

Cisza panująca w tych poko-
jach, spokój malujący się na
skupionych twarzach architek-
tów jaskrawo kontrastują z
zgiełkiem ulicy. Przeniesmy się
wyobraźnią do Poznania jutra.
Zapraszamy, czytelników na
wspólną wędrowkę po nowym,
pięknym mieście.

Zbliżamy się do Poznania od
strony południowej. Szyb-
ko mijamy osiedle mieszkani-
owe i rejon głównych ośrodków
pracy na Dębcu.

— Zerwaliśmy z historyczną
linią rozwoju miasta ze wscho-
du na zachód. — Wprawdzie
zachowaliśmy historyczny ciąg
rozwoju Poznania oraz uwypu-
kiliśmy dla dalekich i bliskich
widoków perspektywicznych je-
go walory architektoniczne
i krajobrazowe; jednakże za-
sadniczy kierunek rozwoju jest
odwrótny do historycznego, a
więc północ — południe, wzdłuż
biegu Warty. W ten sposób zbli-
żyliśmy miasto do rzeki.

Jedziemy w tej chwili trasą
P — P, stanowiącą główną oś
miasta. Za nami, na południe,
trasa przedłuża się w malownic-
zą, obramowaną zielenią drogę
wycieczkową, łączącą miasto z
Wielkopolskim Parkiem Naro-
dowym.

Przed nami wygodna, szeroka
ulica (dawniejsza Dolna Wilda),
położona tuż u stóp skarpy wil-
deckiej. Ulica ma jednostronną
obudowę od strony zachodniej,
z której rozciąga się piękny wi-
dok na Łęgi Dębińskie ze znaj-
dującym się tam dzielnicowym
parkiem ludowym, a dalej na
wschodnią skarpy i zwartą ścia-
nę największej dzielnicy Pozna-
nia — Rataj. W dali rysuje się
sylwetą miasta wraz z charak-
terystycznymi wyniosłościami,
jak wysokościowe gmachy, wie-
że itp. Z prawej strony ukazuje
się chwilami poprzez drzewa
katedra na Ostrowie Tumskim.

Mamy teraz po prawej ręce
zespół boisk „Stali”, wszystko
na Łęgach Dębińskich, mijamy
przedłużenie alei Hetmańskiej
i dojeżdżamy do skrzyżowania
tras P — P z ulicą Dzierży-
ńskiego i Marchlewskiego.

— Proponuję w tym miejscu
zatrzymać się chwilę. Trasa
Marchlewskiego, która przecina
tutaj trasę P — P jest bowiem

główną arterią komunikacyjną
Wschód — Zachód i chciałbym
w skrócie ją opisać.

— Otóż obie te trasy stano-
wią zasadniczy kościół kompo-
zycyjny miasta. Trasa March-
lewskiego rozpoczyna się na
wschodzie przemysłowej dzielni-
cy Kobyłepole oraz wschodnim
klinem zieleni w dolinie Cybiny.
Idąc na zachód mijają po kolei
wschodnią część Rataj, wchodzi
w wysoką zabudowę (5 do 10
pięter) tej największej, ponad
100-tysięcznej dzielnicy i, prze-
cinając prawobrzeżną trasę P — P
przez most Marchlewskiego do-
chodzi do miejsca, w którym
stoimy. Dalej na zachód, przez
tereny pocmentarne, dochodzi
do Mostu Dworcowego, a stam-
tąd, przez tereny targowe, ulicę
Konopnickiej, dociera do alei
Reymonta. Za miastem już wy-
chodzi na szosę berlińską.

— A te gmachy przed nami?
Spoglądamy teraz na wielopo-
ziomowy plac u zbiegu tras:
P — P i Marchlewskiego z kom-
pleksem monumentalnych budo-
wli na szczycie, kilkanaście me-
trów ponad poziomem jezdnii.

— Tutaj właśnie, na miejscu
dawniejszego fortu i browaru
wybudowaliśmy Centralny Dom
Kultury z wielką salą koncerto-
wą, siedzibą Filharmonii i Ra-
dia. Tutaj również umieściliśmy
jeden z działów Muzeum Naro-
dowego, aby zbliżyć je do dziel-
nic robotniczych.

Po lekkim wzniesieniu udaje-
my się przedłużeniem alei Mar-
cinowskiego do skrzyżowania
z ulicą Armii Czerwonej.

— Może znowu na chwilę
przystaniemy. Jesteśmy w cen-
trum usługowo-sklepowym mia-
sta. Gdybyśmy zeszli teraz w
dół tunelem, do placu Wiosny
Ludów i przedłużeniem ulicy
Armii Czerwonej przez Most
Rocha, dotarlibyśmy do zespo-
łu gmachów Politechniki Po-
znańskiej na prawym brzegu
Warty. Z terenu Politechniki
znależlibyśmy drogi wyprowa-
dzające do ośrodków wypoczyn-
kowych nad Jeziorem Maltań-
skim oraz do znajdującego się
tam Ogrodu Zoologicznego.

— Idąc natomiast na lewo,
obok Nowego Ratusza i Uni-
wersytetu, doszlibyśmy do wiel-
kiego gmachu nowej opery, któ-
ry znajduje się w miejscu daw-
nego Zoo. Tam ulica uchyla się,
wpada w ulicę Świerczewskie-
go, przy której, trochę dalej na
zachód, znajdują się gmachy
Akademii Medycznej, zlokalizo-
wane tam z uwagi na znajdują-
ce się w okolicy szpitale.

Minęliśmy właśnie plac Wol-
ności. Wychodzimy ze zwartej
zabudowy miasta na plac, oto-
czony zabytkowymi obiektami,
znajdujący się na wzgórzu Woj-
ciecha.

Z placu otwiera się obszerny
widok na stoki i wzgórze, na
którym dawniej znajdował się
symbol pruskiego ucisku i nie-
woli — Cytadela. Dziś znajduje
się tam jaskrawe przeciwień-
stwo tej ponurej budowli, plac
zebrani masowych, wojewódzkie
centrum sportowe oraz zespół
gmachów wojewódzkiego, mło-
dzieżowego Pałacu Kultury.

Po zejściu ze wzgórza Woj-
ciecha trasa P — P zmienia
swoją charakter. Po obu stronach
rozciągają się pasy zieleni —
parki typu architektonicznego
o geometrycznych formach.

Park przecina piesza trasa
stanowiąca przejście z Central-
nego Parku Kultury na wzgó-
rze pacytadelskim, ulicami:
Wrocławską i Strzelecką, do
ośrodków sportowych na Łę-
gach Dębińskich oraz dzielnic-
owego parku dla Wildy i Dębca.

Wspinamy się teraz po skar-
pie dawnej Cytadeli i oto sta-
jemy na wielkim placu widoko-
wym o dwóch poziomach, otwar-
tym w kierunku południowym.
Widać stąd rozległą panoramę
trzech czwartych części miasta,
z dzielnicą zabytkową, Wartą
i portem rzeczynym na pierwszym
planie, oraz śródmieściem i dziel-
nicami mieszkaniowymi na dal-
szym. Po stronie południowo-
wschodniej bliższy wśród zie-
leni tafla Jeziora Maltańskiego.
Panoramę kończą sylwety za-
kładów przemysłowych Głów-
nej, Żegrza i Staroleki. U stóp
wzgórza na miejscu dawnego
torowiska kolejowego, znajduje
się trasa Wschód — Zachód,
stanowiąca odciążenie dla histo-
rycznej trasy biegnącej przez
Chwaliszewo i dla trasy March-
lewskiego.

Wokół nas centrum sportu
i współżycia zbiorowego. Oto
wielka hala imprezowo-sporto-
wa, dalej kryte pływalnie, sztu-
czne lodowiska, otwarty basen,
sale gimnastyczne i wiele in-
nych urządzeń sportowych. W
urządzeniach wodnych wykorzy-

stuje się ciepłą wodę z elektro-
wni.

Z obszernego parku wydosta-
jemy się na oś Winogradów,
drugiej po Ratajach pod wzglę-
dem ilości mieszkańców (100 000)
dzielnicy Poznania, podobnie
jak Rataje zupełnie od podstaw
nowocześnie zaprojektowanej.
Z parku prowadzi szeroka, oto-
czona zielenią droga, związająca
się po przecięciu arterii łączą-
cej Sołacz z Główną. Na tym
zweźwieniu powstało centrum
Winogradów.

Z placu zebrani masowych je-
szcze raz ogarniamy wzrokiem
rozległą panoramę miasta.

A historyczna trasa. Czy za-
chowana została tak jak wy-
kształciła ją historia?

— Niemal zupełnie. Znajduje
ona swój początek na wschodzie
w rejonie Jeziora Maltańskiego,
tuż przy dużym ośrodku sporto-
wym — stadionie „Kolejarza”,
początek przechodzi obok osiedla
mieszkaniowego na Komandorii,
przez Śródkę i osiąga Cybinę.
Most na Cybinie znajduje się
nieco na południe od dawniej-
szego drewnianego, na wprost
ulicy Warszawskiej. Na trasie
tej znajdują się: katedra, ko-
ściół Panny Marii i osiada Cybinę.
dalej główne koryto Warty, dalej
Most Chrobrego, zabytkowe
Chwaliszewo, Most Chwaliszew-
ski i Stary Rynek. Cała archi-
tektura wzdłuż tej trasy zachó-
wała charakter końca XVII wie-
ku.

— A dalej? Plac Wolności
obniżony został do poziomu uli-
cy przy Bibliotece Raczyńskich,

a ulica 27 Grudnia poszerzona,
przez co odsłonięty został Teatr
Polski i okrągłak PDT. Przy
końcu ulicy Fredry za mostem
Teatralnym mamy silny akcent
wysokościowy, w postaci wi-
docznego stąd zresztą hotelu
wieżowca z dużym placem, któ-
rego jedną ścianę stanowi Wo-
jewódzki Ośrodek Zdrowia.

Miasto posiada regularne o-
brzeże o niskiej zabudowie.
Wysokość zabudowy wzrasta
w miarę zbliżania się do cen-
trum, by obniżyć się ponownie
w partiach przylegających do
części zabytkowych.

Zabytkowe akcenty wysoko-
ściowe, jak na przykład Stary
Ratusz i inne, dominujące nad
częścią historyczną miasta, pod-
kreślone są przez to, że odsu-
nięto od nich nowe akcenty
poziomowe w formie wieżow-
ców, które umieszczone są na
wschodnim obrzeżu Jeżyca, po-
łudniowym Winogradów, zachó-
dnim Rataj i północnym Wildy.
Główną dominantę miasta sta-
nowi jednak zespół gmachów
centrum kulturalno-sportowego
na wzgórzu, na którym się znaj-
dujemy.

Stąd rozchodzą się cztery za-
sadnicze kliny zieleni wycho-
dzące poza miasto do natural-
nych lasów wzbogaconych je-
ziorami. Wyposażenie technicz-
ne tych klinów maleje w miarę
oddalenia się od centrum. Urzą-
dzone parki z terenami sporto-
wymi przechodzą stopniowo w
naturalną zielen, wśród której
wije się Warta wraz z dopły-
wami, a duża przestrzeń zajmu-
ją olbrzymie tafle wód Rusałki
i Jeziora Maltańskiego.

Nad wodami plaże i miejsca
kąpielowe przystosowane dla
dziesiątków tysięcy wypoczy-
wających. Obok rozległe łąki
przeznaczone dla zabaw ludo-
wych.

— A zieleni w dzielnicach
mieszkalnych?

— Od zasadniczych klinów
zieleni przenikają w głąb dziel-
nic mieszkalnych mniejsze i
większe ciągi zieleni spacero-
wej, która umożliwia rozpoczę-
cie przechadzki wśród zieleni
z pobliska miejsc zamieszkania.

Wszystkie dzielnice, zarówno
stare jak i nowe nabrały jedna-
kowo starannego ukształtowa-
nia architektonicznego, są wy-
posażone w urządzenia komu-
nalne, kulturalne i socjalne.
Na ośrodek taki składają się:
dom kultury, a w większych
dzielnicach jeszcze domy ludo-
we, teatr dzielnicowy, siedziba
dzielnicowej rady narodowej,
pocztą, biblioteka, oddziały ban-
ków, PKO, sklepy specjalnych
branż, których ilość w mieście
jest ograniczona itd.

— Jak są rozmieszczone te
ośrodki?

— Wschodnia dzielnica ma
taki ośrodek na skrzyżowaniu
Nowych Rataj z ul. Obrzyca,
Wilda — na Rynku Wildeckim,
Łazarz — na placu w kwadracie
ulic: Chociszewskiego, Jaro-
chowskiego, Wyspiańskiego i
Reymonta, Jeżyce — na rynku
i podośrodek przy ulicy Szpital-
nej, Winiary — przy ul. Koron-
nej, Winogrody — na osi P — P.

*

Palec skończył swoją wę-
drowkę po mapie, głos ur-
milkł. Przez chwilę czekałem
z nadzieją, że usłyszę więcej.
Ale inżynier Tadeusz Pionczak
już zwił plan miasta. Skoń-
czyliśmy wędrowkę po nowym
Poznaniu, który wyrasta, jak
i cała nasza bogata ojczyzna, na
najżyźniejszej glebie, jaką zna
świat — glebie ustroju socja-
listycznego, przyjaźnej współ-
pracy z bratnimi narodami, gle-
bie pokojowej, twórczej pracy.

MIECZYSLAW SKĄPSKI

Dr Witold Jakóbczyk

prof. Uniwersytetu Poznańskiego

Z tradycji współpracy polskiego i niemieckiego proletariatu

Zanim powstała klasa ro-
botnicza w Poznaniu, po-
stępni działacze spośród
burżuazyjnych demokratów
oraz rewolucyjnych demokra-
tów niemieckich współdziała-
li w latach Wiosny Ludów z
polską demokracją, dążąc do
wyswobodzenia Polski. Ale
dopiero kapitalizm zrodził w
Niemczech klasę robotniczą,
która szybko dojrzała ideo-
logicznie i organizacyjnie i
podjęła hasła walki o pełne
wyzwolenie polskich i nie-
mieckich mas pracujących a
także z kajdan burżuazyjnego
wyzysku. Zaczęła się tu walka
w latach Cesarstwa Nie-
mieckiego, w którym ludność
miała już swą reprezentację
parlamentarną. Od 1872 r. w
Poznaniu dochodziło do wie-
ców robotniczych polsko-nie-
mieckich, a następnie dość
silna była agitacja socjalisty-
czna w 1878 r. Wielkie sukcesy
jej w Niemczech spowodowa-
ły, że rząd junkiersko-bur-
żuazyjny pod kierunkiem Bis-
marcka wydał wówczas osta-
teczną ustawę zakazującą or-
ganizacji i propagandy socja-
listycznej. Socjaldemokracja
niemiecka musiała zejść wte-
dy w podziemie. Ale w tych
latach bohaterskiej walki za
hartowała się i wyrobiła na
partię wysoko postawioną or-
ganizacyjnie i ideologicznie.
Lenin wysoko cenił tę par-
tę, która odegrała decydują-
cą rolę także i w dziejach pro-
letariatu polskiego i niemiec-
kiego w byłym zaborze prus-
kim.

To jedno ze źródeł jego hi-
storii. Drugie — było rodzi-

me. Byli to działacze polskiej
emigracyjnej lewicy socjali-
stycznej, którzy od 1881 r.
podjęli akcję propagandową
i organizacyjną w Poznaniu.
Jednak denuncjacje zagro-
żonej drobnej burżuazji poznań-
skiej wydały ich w ręce władz
pruskich. Tak było w latach
1881 i 1882 a potem w 1887 r.
Gdy Waryński zakładał I
Proletariat w Warszawie, w
Poznaniu próbował Stani-
sław Padlewski podobnej pra-
cy. Nawiązał on pewne kon-
takty z organizacją warszaw-
ską i korzystał z jej gene-
wskich publikacji, z „Przed-
świtu”, „Walki Klas” i in. Na
emigracji spotykali się socja-
liści polscy z niemieckimi,
omawiali wspólne problemy,
a zwłaszcza współdziałanie
polskiej organizacji z niemie-
ską: z Socjalną Demokracją.

W jej szeregach bowiem
stawiali pierwsze kroki póź-
niejsi działacze poznańskie-
go ruchu robotniczego, z nią
byli związani członkowie za-
konspirowanej organizacji
berlińskiej — poznańskiej, po-
stałej w 1885 r. w Berlinie, z
odgałęzieniem w Poznaniu.
Spotkamy w niej stawiające
pierwsze kroki na drodze
rewolucyjnej Marcina Kas-
przaka, proletariatyka Bro-
nisiława Sławińskiego, Fran-
ciszka Morawskiego i szereg
innych robotników lub cie-
ladników rzemieślniczych z
Berlina i Poznania. Była ona
w stałym kontakcie z I Pro-
letariatem oraz jego organa-
m szwajcarskimi: „Przedświ-
tem” i „Walka Klas” oraz nie-
mieckim „Sojaldemokrat”.

W tymże numerze również
zdecydowanie stawiano po-
stulat polityki ludowej, samo-
dzielnej, polskich mas pracu-
jących. Wzywano je do walki
z polskimi i niemieckimi wy-
zyskiwaczami, nawoływano
do całkowitego oderwania
się od kierownictwa politycz-
nego polskiego obszarnictwa
i fałszywych „ludowców”
spod znaku „Ore-downnika”, re-
dagowanego przez Romana
Szymańskiego, lidera drob-
nomieszczanstwa poznańskie-
go, wielokrotnego denuncja-
tora socjalistów poznańskich.
Wzywano robotników poznań-
skich do zorganizowania się
i do samodzielnej akcji wy-
borczej, do postawienia wła-
snego kandydata na posła do
parlamentu niemieckiego.
Artykuł „Przedświtu”, kolpor-
towany później w tysiącach
egzemplarzy jako osobna ulot-
ka, bodaj przez Kasprzaka i
Deregowskiego, zelektryzował
proletariatusz poznańskich a
wystraszył obszarników i bur-
żuazję. I pierwszy i drugi uj-
rzeli po raz pierwszy nową
siłę na widowni, siłę — przed
którą była cała przyszłość.

Zawrzało to oburzenia w O-
re-downniku i Dzienniku Poznań-
skim oraz w Kurjerze Poznań-
skim, organach burżuaz-
ji, obszarników i wyższego
kleru. Ktoś ośmielił się wy-
stąpić przeciw „solidarności
narodowej”, pod osłoną któ-
rej polskie klasy wyzyskujące
podtrzymywały swój monopol
na reprezentację parlamen-
tarną i obronę swoich intere-
sów, obok lękliwej, niezdecy-

(Ciąg dalszy na str. 2)



Józef Konstanty Janiszewski

tykuł — odezwa „Do ludu pra-
cującego”, a odnoszący się
do Wielkopolski. Potępiał on
jak najostreżniej bismarkowski
ucisk wobec Polaków i bronił
w mocnych słowach praw na-
rodowości polskiej. Było to
pierwsze wystąpienie w obro-
nie narodowości ze strony
polskiego ruchu socjalistycz-
nego. Stojąc na stanowisku
klasowo rewolucyjnym i in-
ternacjonalistycznym, pod-
kreślał, że niemieckie masy
pracujące potępiają również
politykę Bismarcka, że popie-
rają walkę Polaków o wyzwo-
lenie z wszelkiego ucisku.

LEW TOLSTOJ

W 125 rocznicę urodzin

M. Gorki w swoich „Wspomnieniach o Leninie” pisze, z jakim zachwytem i dumą mówił on o Lwie Tolstoju:

— „Jaka głębia, co? Co za wspaniały człowiek! Oto mi artysta. I wiecie co mnie jeszcze zdumiewa? Do czasu tego hrabiego, prawdziwego chłopca w literaturze jeszcze nie mieliśmy.

cja Październikowa. Czy mógł L. Tolstoj, świadek zachodzących przemian, przejść obok wszystkiego obojętnie, co się przetwarzało i zmieniało? Nie, nie mógł. Był dzieckiem epoki i najdoskonalszym jej wyrazicielem.

od sprzeczności. W genialnie artystycznej powieści przedstawił wprawdzie obraz pełnej samozaparcia walki narodu rosyjskiego z Napoleonem, ale równocześnie dał zgola nieprawdziwy typ chłopca Platona Karatajewa, w którym rysy wschodniego fatalizmu przedstawione są jako rzekomo naturalne cechy charakteru chłopca rosyjskiego. Również niewłaściwie potraktowany jest głównodowodzący armią rosyjską Kutuzow.

Pomimo błędnych filozoficznych rozważań, którymi przeplatał powieść Tolstoj, z niesłychaną siłą i natchnieniem pokazał gniew narodu, jego młodość do ojczyzny, inicjatywę i stanowczość w walce. Krytyka rosyjska powieść „Wojna i pokój” uznała za „Illiadę” narodu rosyjskiego.

Około 1870 roku Tolstoj napisał powieść „Anna Karenina”, której fabuła zaczerpnięta jest z życia szlachty rosyjskiej. Z wielkim realizmem autor chłocze w niej fałsz, obłudę i podwójną moralność życia obszarników. Lenin o tym utworze powiedział, że Tolstoj dał w nim „trafną charakterystykę okresu 1861 do 1905 r.”

Trzecia wielka powieść Tolstoja jest „Zmarłychwstanie”. Należy ona do szczytu tolstojowskiego realizmu. W dziele tym autor wykazał niedającą się pogodzić sprzeczność pomiędzy nierobami z klasy panującej a ludźmi pracy, zdemaskował komedię sądu carskiego, odsłonił rolę cerkwi jako narzędzia państwa w ujarzmianiu narodu i według wyrażenia Lenina „zerwał maskę z ustroju burżuazyjno-szlacheckiego”. Lecz i tu Tolstoj nie ustrzegł się błędów — uważając, że jedynym środkiem usunięcia przemytu, politycznego i społecznego ustroju jest „miłość chrześcijańska i przebaczenie.”

W innych swoich utworach Tolstoj z wielkim realizmem odzwierciedla życie patriarchalnej Rosji, nędzę ludu jeżącego pod jarzmem klasy wyzyskiwaczy i

narastający protest mas przeciwko ciemnościom. Lecz wszystko to zaciemnił mgła swojej filozofii „niesprzeciwiania się złu”, nawoływaniem do „moralnego samodoskonalenia się”.

W utworach swoich głosił on powrót do natury, odrzucił wszelkie zdobycze cywilizacji jako dostępne tylko niektórym i występował przeciwko sztuce dla sztuki. Popadł wreszcie w zatarg z rządem carskim, który zabronił rozpowszechniania jego dzieł oraz z cerkwią, z której został wydalony w 1901 roku. Wpadł wreszcie w zatarg z własną rodziną, co w końcu doprowadziło go do tajemniczego opuszczenia Jasnej Polany. W drodze na południe Rosji umarł w 1910 roku, mając lat 82.

Mimo błędów, jakie popełnił w swoich pismach, przed którymi Lenin ostrzegał czytelników, twórczość Tolstoja w całości jest, według Lenina, „krokiem naprzód w artystycznym rozwoju całej ludzkości”. „... W spadku po nim — pisze Lenin — pozostało to, co nie odeszło do przeszłości, a co należy do przyszłości. Ten spadek podejmuje i pracuje nad nim rosyjski proletariatus”.

Tolstoj jest wielki jako wyraziciel tych idei i nastrojów, jakie powstały wśród milionów chłopstwa rosyjskiego w czasie nadciągania burżuazyjnej rewolucji w Rosji. Niezawasze i nie wszystkich przekonywała jego filozofia moralności. Często błędził. Dla wielu był „Don Kichotem w chłopskiej odzieży” — według wyrażenia Bernarda Shaw’a, lecz kazał myśleć, wzruszać się i protestować.

W Związku Radzieckim utwory Tolstoja należą do najpoczytniejszych. Przetłumaczone zostały na 54 języki narodów ZSRR i wydane w nakładzie około 25 milionów egzemplarzy.

Z tradycji współpracy polskiego i niemieckiego proletariatu

(Dokończenie ze str. 1)
dowanej „obrony narodowości”!

W pierś ludu pracującego wstąpiła otucha: ktoś mądry i odważny stanął po jego stronie i wskazał mu cel działania i pouczył o sytuacji, odskonił rzeczywistość, ukazał prawdziwe oblicze „naszych” panów.

W Poznaniu istniały już organizacje polska i niemiecka, coraz częściej współpracujące ze sobą. Gdy przyszło do wyborów do parlamentu w lutym 1887 r. kierownictwa obu organizacji, zresztą zaskonspirowanych, porozumiały się między sobą i wysunęły wspólnego kandydata: Józefa Konstantego Janiszewskiego, urodzonego w r. 1835 w Grodzisku, wyrobionego organizacyjnie i politycznie, a przebywającego wówczas w Dreźnie. Korespondował on z cygarnikiem Voelkem, kierownikiem poznańskiej organizacji niemieckich robotników. Tu przygotowywano akcję wstępną uświadamiającą, gdy Janiszewski w Dreźnie opracował i wydrukował dwie ulotki programowe: jedną w polskim, drugą w niemieckim języku, nawołujące robotników poznańskich do solidarnego głosowania na swego kandydata: Janiszewskiego, który będzie bronił naprawdę ich interesów w parlamencie, wbrew systematycznej zdradzie i zwalczaniu ich interesów przez szlacheckich lub burżuazyjnych posłów polskich i niemieckich.

Około 18 lutego obie ulotki były już sprowadzone do Poznania i kolportowane w centrum i na peryferiach. Kierował tą robotą, stelmach z Rataj — Adam Grześkiewicz. Wsuwano w tych ulotkach konieczność wprowadzenia progresywnego podatku od dochodów, konieczność wyłączenia obszarników, „by lud polski miał w swym ręku narzędzia pracy. My chcemy, aby ziemia należała rolnikowi, a fabryka do robotnika” — pisano tam za przykładem

odezw Wielkiego Proletariatu. Występowano przeciw układowi narodowemu:

„My, socjaliści polscy, chcemy, by lud polski miał wszystkie swe prawa, by nigdzie nie było ucisku narodowościowego.”

Opa kółka socjalistyczne: polskie i niemieckie, przystąpiły wspólnymi siłami do organizowania wieców przedwyborczych. Nie obyły się one bez awantur, spowodowanych przez agentów burżuazji. W samym dniu wyborów — 21 lutego agitatorzy robotniczy wręczali wyborcom kartki z nazwiskiem Janiszewskiego. Ale burżuazyjno - obszarniczy Centralny Komitet Wyborczy zwalczał bezwzględnie kandydata proletariatu. Janiszewski uzyskał tylko 214 głosów. Wpływy burżuazji i kleru były jeszcze tak silne, a walka tak bezwzględna, że wielu ludzi stchorzyło.

Odważnym agitatorom i kolporterom socjalistycznych odezw wytoczono potem proces w dniu 15 kwietnia. Uwieczniliśmy tu nazwiska tych ludzi, działających pioniersko w tak trudnych warunkach: Janiszewski, Voelke, Gaul, Scharlach, Biewald, Moses, Hein, Gieszczyński, Rogowicz, Grześkiewicz, Zietkowski, Na der, Komornicki, Michalski, Szymański, Kostecki, Tomaszewski, Byszkiewicz, Nowak, Ratajski, Garstka. Wśród nich było 9 cygarników, najbardziej bojowych, najbardziej wyzyskiwanych. Janiszewski dostał 2 lata, Grześkiewicz 15 miesięcy, Voelke i Gaul po 9 miesięcy, dwaj inni — po 2 miesiące, a pozostałych uwolniono od winy i kary. Właściciele drukarni w Dreźnie, gdzie drukowano odezwy, skazano na grzywnę. W więzieniu nałożono Janiszewskiemu kajdany na nogi, by uniemożliwić mu ucieczkę.

Kłosa wyborcza dała organizację nowe doświadczenia, zmobilizowała robotników i nakazała im dalszą solidarną współpracę z towarzyszami niemieckimi w walce o całkowite wyzwolenie.

Z dziejów filmu polskiego

„Dni Filmu Polskiego”, które trwają na terenie całego kraju od 5 do 30. IX. br. są bilansem osiągnięć naszej nowej sztuki filmowej w latach 1943—1953 i wskrzeszeniem przed oczami widza kinowego poszczególnych etapów jej rozwoju w okresie minionego 10-lecia. W czasie trwania „Dni Filmu” będziemy mogli ujrzeć na naszych ekranach polskie filmy fabularne, dokumentarne i oświatowe.

Dużo zmieniło się w dziedzinie polskiej sztuki filmowej od czasu powstania na ziemi radzieckiej w roku 1943 czołówki filmowej przy I Dywizji Wojska Polskiego. Przed Polskim Filmem po wojennym stało poważne zadanie: zapewnienie krajowemu rynkowi wartościowych filmów własnej produkcji oraz udostępnienie ich jak najszerszym masom społeczeństwa. Już pierwsze polskie filmy powojenne pokazały, że nasza kinematografia znalazła właściwą drogę i że zaszły w niej głębokie i wartościowe przemiany. Premiery takich filmów, jak: „Ostatni etap” i „Ulica Graniczna” stały się wielkimi wydarzeniami w życiu artystycznym kraju. Utwory Jakubowskiej i Forda nie tylko wzruszają i mobilizują widzów polskich do walki o pokój i szczęście ludzkości, lecz również po raz pierwszy w dziejach polskiej kinematografii zdemaskowały przed światem hitlerowskich barbarzyńców. Miliony widzów we wszystkich krajach kuli ziemskiej obejrzały polskie filmy, odznaczone i wyróżnione na międzynarodowych festiwalach w Marińskich Łaźniach, Wenecji, Cannes i Karłowach Varach. Wanda Jakubowska za realizację „Ostatniego etapu” zdobyła najszlachetniejsze laury — nagrodę światowej Rady Pokoju, jako za dzieło sztuki filmowej o olbrzymiej roli w walce o pokój.

Również w dziedzinie filmu dokumentarnego odnieśliśmy poważne sukcesy. Jako dowód posłużyć mogą dwa

polskie filmy: „Pokój zdobyte świat” i „Szeroka droga”, oba nagrodzone na VI Festiwalu w Karłowach Varach.

W przeglądzie i podsumowaniu dorobku naszej kinematografii nie można pomi-

A teraz cofnijmy się do przeszłości i popatrzmy, jak wyglądała polska kinematografia w latach 1919—1939.

Polska kinematografia w okresie międzywojennym rozwijała się w bardzo niezdrowej atmosferze spekulacji i

śladała w Warszawie swoją ekspozyturę. Była nią Warszawska Spółka Kinematograficzna. Rządy Polski przed wojenną nie starały się nawet stworzyć dogodnych warunków do rozwoju rodzimej kinematografii, lecz pozostawiały sprawę produkcji filmów krajowych, wolnej inicjatywy prywatnych właścicieli.

Od roku 1936 polska kinematografia wszelkimi siłami starała się odwrócić uwagę widza od sytuacji międzynarodowej. Również w latach 1938 i 1939 zamiast uświadamiać społeczeństwo o niebezpieczeństwie II wojny produkowano filmy w rodzaju „Gehenny” Heleny Mniszek. Tak wyglądała „oficjalna” oblicze naszej kinematografii. Nie należy jednak zapominać, że już przed wojną istniał postępowy odłam polskich filmowców, walczących z prywatnymi właścicielami kin oraz z sanacyjną cenzurą. Należeli do niego tacy realizatorzy, jak Aleksander Ford, J. Zarzycki, E. Cękalski, St. Wohl, Wanda Jakubowska i szereg innych. Skupiali się oni w Spółdzielni Autorów Filmowych. Walka ich o prawdziwy realistyczny film była bardzo ciężka nie tylko z powodu braku kapitałów, lecz również na skutek sanacyjnej cenzury filmowej. Mimo to, realizowali oni szereg wartościowych filmów, jak „Nad ranem” i „Tętno polskiego Manchesteru” (A. Ford), „Morze” (E. Cękalski, Wanda Jakubowska i St. Wohl), „Legion ulicy” (A. Ford) oraz szereg innych. Filmy te były jednakże przysłówką „kropla w morzu” wśród zalewu szmiry krajowej i zagranicznej produkcji.

Na skutek całkowitej zmiany sytuacji politycznej, która postawiła Polskę w szeregu państw demokracji ludowych, polski przemysł filmowy zerucił z siebie pęta kapitalistycznej niewoli i produkuje filmy walczące o szczęście, pokój i przyjaźń między narodami.

(mis)

NOWE KSIĄŻKI

Ósmy zjazd RKP(b)

Nakładem „Książki i Wiedzy” ukazała się ostatnia praca W. Ignatiewa w przekładzie E. Drukerowej pt. „Ósmy Zjazd RKP(b)”.

VIII Zjazd RKP(b) odbywał się w Moskwie w dniach od 18 do 23 marca 1919 r. w szczególnie trudnym okresie, w którym imperializm międzynarodowy podjął ostatnią, wytężoną próbę zdławienia Republiki Radzieckiej. Porządek dzienny Zjazdu obejmował następujące zagadnienia: 1. sprawozdanie KC, 2. program RKP(b), 3. utworzenie Międzynarodówki Komunistycznej, 4. sytuacja wojenna i polityka wojenna, 5. praca na wsi, 6. sprawy organizacyjne, 7. wybory do Komitetu Centralnego.

W pracy swojej, Ignatiew obrazuje przede wszystkim wojenno-polityczną i gospodarczą sytuację Republiki Radzieckiej w przededniu VIII Zjazdu RKP(b). Z kolei przedstawia on przebieg obrad nad poszczególnymi punktami porządku dziennego.

Omawiając historyczne znaczenie VIII Zjazdu RKP(b) Ignatiew podkreśla, iż wielki sukces Zjazdu stanowi uchwalenie programu partii, programu, który podsumowuje wyniki nowego etapu światowego ruchu wyzwolenieckiego proletariatu. Na uwagę zasługuje również jedność uchwały Zjazdu w sprawie wojny i poparcie okazane Armii Czerwonej.

Szczególnie doniosłe znaczenie miały uchwały Zjazdu w sprawie pracy na wsi. Nakreślił on bowiem linię w sprawie stosunku proletariatu do wielomilionowych rzesz średniego chłopstwa. Polityka ta doprowadziła w efekcie do umocnienia sojuszu klasy robotniczej i biedoty ze średniakiem.

Przeprowadzona na mocy uchwały Zjazdu ponowna rejestracja członków oczyściła partię od elementów chwiejnych, przypadkowych i karierowiczowskich. Wytężone Zjazdu w sprawie wzajemnego stosunku między partią a Radami doprowadziły do umocnienia kierowniczej roli partii w radach.

Partia bolszewików kierowała się w swej praktycznej działalności programem uchwalonym na VIII Zjeździe RKP(b). Realizacja tego programu doprowadziła do utworzenia pod kierownictwem Lenina i Stalina wielonarodowego państwa socjalistycznego, do umocnienia braterskiej przyjaźni między narodami ZSRR.

Realizując ten program, naród radziecki pod przewodnictwem bolszewickiej zbudował społeczeństwo socjalistyczne w ZSRR.

Wiersze zebrane Wład. Broniewskiego

Nakładem „Książki i Wiedzy” ukazała się ostatnia obszerna tom „Wiersze Zebranych” czołowego poety Polskiej Ludowej Władysława Broniewskiego. Tom zawierający dorobek poetyckiego autora „Komuny Paryskiej” podzielony jest na siedem części tytułowanych: „Wiatraki”, „Dym nad miastem”, „Komuna Paryska”, „Troška i pieśń”, „Krzyk ostateczny”, „Bagnet na broń”. Ostatnią część — „Drzewo rozpaczające” zawiera m. in. napisany w związku z 70-leciem urodzin Józefa Stalina poemat „Słowo o Stalinie”, który należy do szczytowych osiągnięć Broniewskiego.

WSTRZYGONIOWIE

Jerzy Korczak

W środku izby skakało kilkanaście prze-
grzanych par. Tiukli piętami o podło-
gę, kołowali szybko jak na karuzeli. Lampa
na suficie rozkołysała się nierzeczywiście. W
jej młym świetle błyskały wilgotne, czer-
wone twarze. W kącie rozsiadli się muzy-
kanci. Różni od ucha na harmonii i skrzyp-
cach pokrękując co chwila. Jeden z nich
oparł się rękami o piec i ochryple podśpie-
wał: „a kto nie wy-pi-i-je, tego we dwa
kili-je”.

Pod oknem — lśny jak szklany abażur
właściciel chaty, sklepu i dwudziestu mor-
gów, Franciszek Ziulczyk wyciągnął z kie-
szeni zakorkowaną butelkę i mocno uderzył
ją od spodu. Korek piasnął, trochę płynu
rozlało się na podłogę. Nikt nie zwracał na
niego uwagi. Chłop wytarł rękawem butel-
kę, przełożył do ust. Zadarł do góry głowę
jak trębacz przy pobudce.

Kwaśny odór laskotał gardła. Na ścianach
osłady gęste jak kłęby wełny spirale dymu.

Około godziny wpół do dziewiątej, skulo-
ny w kącie mężczyzna o włosach koloru pia-
sku mrugnął na dwóch wojskowych: podpo-
rucznika i sierżanta. Po krótkiej chwili
wojskowi skierowali się w stronę drzwi. Za
przepierzeniem był sklep.

— No, tu możemy pomówić! — rzekł cywil
i zamknął za sobą drzwi na klucz. Wsu-
piął z kamizelki gruby zegarek. — Czasu za
wiele nie ma. Nowacki śpi po służbie w do-
mu, ale...

— Prawda — przytaknął oficer — o dzie-
siątej odprawa! — Głos miał wysoki jak
dziewczyna; mimo tykającej sylwetki nie
wyglądał na więcej niż dwadzieścia lat. Wy-
sunął z obcisłego kołnierzyka cienką szyję
i nerwowo potrząsnął małą głową.

— Panie Maliniak, czy nikt tu nie podślu-
cha? — spytał niespokojnie.

— Ależ skąd, muzyka dudni, że krzyczęć
można. Słowa tam nie słychać. — Zniżył
jednak głos i dodał: — Tylko Ziulczyk wie
o niektórych sprawach, ale on nasz czio-
wek.

Wspiął się lekko na palcach i szepnął po-
rucznikowi do ucha: — Gdyby mógł, to by
ich wszystkich w smole utopił. Dobrze mu
oni... — Chciał mówić dalej, ale porucznik
machnął niecierpliwie ręką i przeciął krótko:

— Dobra jest, ale do rzeczy, panie Mali-
niak. Gdzieś mam Ziulczyka. Tu nie o niego
chodzi.

Siedli przy stole lepkim od piwa. Sierżant
wyciągnął z kieszeni zwiniętą chustkę i go-
spodarskim ruchem wytarł stół do sucha.

— Zmieniliśmy plan — powiedział poruc-
znik — tak jak wczoraj kombinowaliśmy, nie
da się zrobić. — Przechylił się w stronę Ma-
liniaka i spojrzał mu prosto w twarz. —
Nie obejdzie się bez zlikwidowania.

— Zlikwidowania? — zachrypiął Maliniak.

— Oczywiście się zaokrągliły z przejęcia. —
Zlikwidowania?... — Sierżant przytaknął
poważnym kiwnięciem głowy.

— Postanowiliśmy zrobić tak — ciągnął
dalej oficer: — Nowacki wyjdzie z domu
przed samą dziesiątą. Na pewno będzie spał
do odprawy. Odprawa późno, bo dowódca
pułku jeszcze z dywizji nie wrócił. Zdrze-
je się, że na jutro planują wymarsz ze Strzy-
goniowa. Za godzinę staną przy sierżantem
koło miłna i poczekamy na wasz sygnał.
Zgasiacie na chwilę lampę w swoim pokoju.
To wszystko. Reszta należy do nas...

— Tak, reszta należy do nas — powtórzył
jak echo sierżant.

Maliniak milczał. Wyciągnął metalowe
pudełko z grubo krajany tytoniem, wolno
skręcił i starannie zakleił bibułkę. Obydwa
wojskowi czekali cierpliwie.

— No, zgoda, panie Maliniak?

— Rozumiem, panowie, rozumiem. — Ma-
liniak zamachał rękami, jak gdyby odganiał
natrętne owady. — Skoro się inaczej nie da,
to trudno. Ale mnie idzie o to, że... że...

— Że co? — nachylił się nad nim sierżant
— że co, panie Maliniak?

— Ta cała chryja może się wydać! — wy-
trafkoł jednym tchem. — Przecież Nowa-
cki u mnie na kwatrze stoi. Gdy zniknie, to
przede wszystkim do mnie przyleżą z rapor-
tami, protokołami, dziury w brzuchu zaczą-
ją wiercić. I co wtedy? Wy będziecie już dale-
ko, szukaj tatka latka, a ja... Młyn zabiorą,
wszystko diabli wezmą — i jeszcze do ciupy
wsadzą.

— Prześcieńcie Maliniak bladolić. Czas
leci, trzeba się zbierać. Muszę jeszcze do
kompanii zejść. Jestem dzisiaj inspekcyj-
nym. Nie suszczcie sobie głowy tym czerw-
nym hylem. Nawet w piekle po nim nie
zapłacą. Takiego sprzątnąć to nie grzech.
Trudno! — przez głos Puziakowskiego prze-
biegała nuta ugoda. — nikt dla przyłap-
ki nie ryzykuje. Myślicie, że ja się wyrwa-
łem do tej z...nej II-giej Armii. Nielepiej
byłoby mi za granicą? Na zachodzie? Ale
kazali — poszedłem. Trzeba swoich ludzi w
wojsku! A straciłem więcej niż wy. Zafajda-
ny młyn!

Nachylił się nad Maliniakiem, mało się
nosami nie zderzyli.

— Taki z was Polak! Jak się coś poważ-
niejszego kroi, to raczki za pas, nożki w
garść i chodu... Wycofać się chcecie...

— Wcale się nie chcę wycofać. Co pan
opowiada, panie poruczniku. Niech tam bę-
dzie po waszemu. Lepsi z was politycy niż
ja. — Maliniak przygniół obcasem niedopa-
łek i złapał Puziakowskiego za rękę.

— No, zgoda, panie poruczniku! — Na
twarz wypiełk mu niepewny uśmiech. —
Chodźmy jeszcze na ledwego, Ziulczyk po-
stawi.

Schylił głowę i przez mgnienie patrzył na
podłogę, jak gdyby liczył deski.

— A za tę robotę... dostanę... rozumiem pan
poruczniku... człowiek ryzykuje...

— Dobrze już, dobrze, krzywdy wam nie
zrobimy. Nie bójcie się!

Nowacki zerwał się z łóżka: wystający
brzuch miękkiego materaca skrzypnął
gwałtownie. Budzik rozzłościł się jak głod-
ne niemowlę. Zdusił go dźwięk. Przeciągnął
się kilka razy, ziewając. Spał nie więcej niż
dwie godziny. O szóstej zdał służbę Puzia-
kowskiemu. Poprzedniej nocy oka nie zmrzy-
żył. Teraz zrzucił z siebie resztkę twardego
snu.

Wolno wkładał mundurową bluzę, nacią-
gał zabłocone cholewy. Psia pogoda! Mokry
śnieg jednostajnie zaczął po szybie. Usiadł
na łóżku, zapalił papierosa. Zatrzymał
wzrok na amatorskiej fotografii w drewnia-
nej ramce. Stała tuż za budzikiem pod oki-
em na framugę. Oparta o szeroki pień drzewa,
krótko ostrzyżona dziewczyna śmiała się
beztrosko. Dokoła niej sterczały rozczaple-
rzone gałęzie krzewów. Fotografia położyła
od wilgoci, ramka nadiłamała się u góry.

Krótko ostrzyżona dziewczynka była jego
żoną.

Ślub wzięli w zimie 1943 roku w zapadłej
dziurze w Kielecczyźnie. Kilka godzin po-
tem wrócił do oddziału.

Dopiero przed miesiącem spotkali się w
Warszawie. Minuty mieli znów wylczone
jak przy przesiedaniu z pociągu do pocią-
gu. Czekala na punkcie kontrolnym. Trzy
dni wędrowała do miasta, nad którym unosi-
ła się jeszcze nieznosna woń spalenizny.
Była opatulona w grubą chustkę. Ledwo ją



poznał. I znów, jak wtedy w kieleckiej wio-
sce, spoglądał z bijącym sercem na zegarek.
Nie mógł oddalić się od kolumny, zaraz ru-
szali dalej. Stanęli przy pontonowym mo-
ście. Mówili szybko i byle co. Nie zdobył się
nawet na pocałunek. Zbyt wiele oczu ślizga-
ło się po nich. I znów rozłąka.

Takie było jego życie: przerywane wątki,
których nigdy nie mógł ze sobą powiązać.
W 38 roku dostał po dwóch latach bezrobo-
cia pracę w fabryce rowerów. Cztery czy
pięć miesięcy stał przy tokarce. Zdawało
mu się, że wygrał los na loterii. Miał na
utrzymaniu rodziców: wreszcie mógł im prze-
stać parę złotych. Sam żył jak mnich: zer-
wał z paleniem, zamieszkał w brudnym ką-
cie w stróżówce, jadł co popadło.

Pewnego dnia przed samym fajerantem
przyszło do fabryki trzech mężczyzn w pło-
ciennych płaszczach. W osłoniętym deskami
kantorze rozmawiali chwilę z kierownikiem.
Czyścił właśnie maszynę, gdy jeden z nich
położył mu rękę na ramieniu. „Z policji
śledczej” — powiedział bezbarwnym głosem
i pociągnął go przed budynek do ciężarów-
ki. Wewnątrz wozu tłoczyło się już osiem
ludzi. Granatowi siedzieli na bocznych ław-
kach. Nie odrywali wzroku od aresztowa-
nych. Wszyscy mieli na sobie zasmolone
kombinezony. Udał obojętność, mimo że zo-
rientował się od razu. W ciężarówce sie-
dział cały fabryczny aktyw kasetemowski.

Śledztwo wlokło się kilka miesięcy. Na
procesie nie było niespodzianek. Prokurator
nawoływał, ostrzegał i zapewniał. Dostał
cztery lata. Przerwał je wrzesień. Obrona
Warszawy, partyzantka, wreszcie Pierwsza
i Druga Armia...

Nowacki ocknął się z zamyślenia: za pięć-
naście minut dziesiąta! Wciągnął ciężki od
wilgoci płaszcz, narzucił pelerynę. Otworzył
drzwi do sieni, szybko wyszedł na dwór. Gę-
sty deszcz zaciął go po twarzy. Postawił koł-
nierz i wtulił głowę w szorstki jak worek
kaptur peleryny.

Zgaś papierosa, ogień widać z daleka!
— powiedział Puziakowski do sier-
żanta.

Stał już dłuższą chwilę pod spadłym
dachem miłna. Deszcz pluskał nad głowami
i ściekał z brakiem po rynnie. Co jakiś czas
dobiegało z oddali krótkie, żalosne szczeka-
nie psa. Patrzyli w kierunku domu Ma-
liniaka: migotała tam światełka jak w „la-
tarni morskiej”. Młyn stał tuż przy ścieżce
na małym wzgórku. Gęsta ciemność roz-
lewała się dokoła jak w bezgwiezdnej noc
na morzu. Do traktu przecinającego wieś
nie było stąd dalej niż sto metrów.

Przysłupali w miejscu dla rozgrzewki i
zagadywali podniecenie. Wszystko mieli u-
planowane jak w kalendarzu. Pomimo to
Wierciński był trochę zdenerwowany: kilka
razy przerywał w środku zdania i pytał nie-
spokojnie:

— Rozkazy wyjazdu przygotowane?

— Przygotowane, przygotowane... — u-
spokajał Puziakowski.

— Nie nawali ten punkt przerzutowy w
Rakotnicy?

— Głupsi! Na pewno nie nawali.

Wrócili do oklepianych kawałów i jałowe-
go młócenia zdań.

Naraz światło u Maliniaków zgasło: naj-
pierw w jednym, za mgnienie w drugim
oknie.

— Sprawdź spluwę! — rzucił krótko Pu-
ziakowski. Wypróbował pod płaszczem kie-
szonkowy reflektor. Działał. Wyciągnął z
kabury pistolet i wsadził do kieszeni.

— Wolałbym parabelkę. Może pan poruc-
znik pożyczycy...

— Masz, ale spróbuj nie trafić, to... —
Pogroził mu przed nosem ręką.

Zamienili pistolety. Wierciński wprowa-
dził nabój do lufy i założył broń za pas.
Stali w bezruchu patrząc na ścieżkę. Mru-
żyli oczy chcąc przebić ciemność.

— Uwaga! — Puziakowski szarpnął sier-
żanta za ramię — słyszysz?

Wysunęli się lekko spod daszka. Deszcz
zabębnił im po pelerynach. Ścieżką od Ma-
liniaków ktoś szedł. Młaskało błoto pod no-
gami. Porucznik posunął się nieco w bok.
Skiął na Wiercińskiego. Odgłos kroków
przybliżył się. Na ścieżce zarysował się cie-
mny kontur idącego. Puziakowski pociągnął
palcem guzik latarki. Błysk prześliznął się
po plecach i głowie opatulonej w kaptur.
Małe, żółte koleczką drgało przez mgnienie
na załamaniach kaptura.

— To on...

Suchy klask przeciął deszczową ścianę.
Ciężko piasnęło błoto — i cisza. Nachylił
się we dwóch nad leżącym: oświetlili twarz
przykłoną do lepkiej ziemi. Sierżant od-
wrócił umazaną błotem głowę. Spod wło-
sów Nowackiego sączył się cieniutki sznureczek
krwi. Usta miał zacisnięte i lekko wykrzy-
wione. Cienie drgały na przymkniętych po-
wiekach: wyglądały jak puste oczodoły.

— Jeszcze zipi! Twarde ścierwo! — rzekł
Wierciński z nutą uznania w głosie.

— Kończ go, ale szybko! — nakazał Pu-
ziakowski.

Sierżant skinął głową i odszedł o krok.
Drugi strzał zabrzmiał w chwili, gdy ranny
próbował odemknąć powieki. Strzał był głu-
chy jak uderzenie w bęben.

— No, teraz to gotów! — zakomunikował
z triumfem. — W sam tył czachy!

Szybko dzwignęli ciało. Zaciążyło im w
rękach jak worek z mąką. Parę kroków za
młynem przystanęli. Wierciński pobiegł do
przymkniętej komórki. Szarpnął za drzwi.
Po krótkiej chwili wrócił z łopatą i kilofem.
Przez ten czas porucznik wymacał portfel z
dokumentami Nowackiego: wsunął go do
polowej torby. Sapiąc z wysiłku ruszyli da-
lej. Nogi grzęzły im w lepkim gruncie. Co
chwila przystawali i kładli ciężar na ziemi.
Odwracali się, jak gdyby mierzyli odległość
od miłna.

*

O szóstej Bogdan przyjął służbę od Balce-
raka. Wciągnął biało-czerwoną opaskę
inspekcyjnego podoficera, sprawdził warty,
dopilnował kolacji. Potem pokreślił się tro-
chę po wsi i wrócił na kwatrze. Przegadał
więcej niż dwie godziny z Wackiem Chole-
wą i ani się obejrzał, jak minęła dziesiąta.
Światło w izbach pogasło, prawie cały plu-
ton leżał już na ciasno do siebie przylega-
jących siennikach.

W dużych dwóch izbach kwatrował
pierwszy pluton. Słuchać było ciężkie sapa-
nia, ktoś do kogoś szeptał, ktoś odpowiadał.
Przy samym skraju izby, tuż pod stojakami,
Kostek Burakiewicz mówił półgłosem do
Franka Wiśniewskiego: „Powiadam ci, bra-
cie, żebyś widział, jakie ona miała wdzięki
— dzwony, powiadam ci...”

Przy oknie migotała świeca wetknięta w gil-
zę od pocisku. W wąskim pasie światła ry-
sowały się wydłużone głowy. To Fronczak
znalazł partnerów do kart. Rozdawał z na-
bożnym skupieniem, ruszając wargami jak
gdyby się modlił.

Bogdan musiał jeszcze przed nocą zaglą-
nąć do drugiego plutonu. Nie bardzo mu się
to uśmiechało: drugi pluton kwatrował na
uboczu, dobre czterysta metrów od reszty
kompanii. Deszcz lał bez przerwy — błoto
i chłód. Na samą myśl o wyjściu na dwór
łapały dreszcze.

Długo ociągał się: wreszcie wstał i wy-
szedł. Tuż za drzwiami wpadł na Puziakow-

skiego. Cofnął się o krok i zameldował. Pu-
ziakowski oczekiwał wody, nawet meldunka
nie dosłuchał. Skoczył do izby i wrzasnął:

— Zbiórka plutonu za dziesięć minut!
Przy drodze! W pełnym rynsztunku!

Za nim stał szef tyjąc dokoła, jak gdyby
tylko szukał, do czego się przyczepić. Nie
mu nie przychodziło na myśl, bo obrzucił
Bogdana złym wzrokiem i milczał. Bogdan
wyczuwał przez skórę, że od kiedy wrócił
do kompanii z dwoma paskami, niechęć
Wiercińskiego znacznie się wzmogła.

— Szefie! — Puziakowski odwrócił się do
sierżanta — zarządźcie natychmiast pobud-
kę w trzecim plutonie. Raz dwa!

— Tak jest! — warknął sierżant.

Izba wypełniła się piskliwym głosem Pu-
ziakowskiego. Poganiał, krzyczał, kręcił się
jak bąk.

Z kątów dochodziły urywki rozmów:

— Diabli wiedzą, co się stało: na cholere
ten wynarsz w nocy?

— Pewno ćwiczenia!

— Wariat jesteś, ćwiczenia o tej godzi-
nie? A Łubek i Nowacki gdzie?

Wreszcie wszyscy byli gotowi. Przez chwi-
lę szurają podkute buty i skrzypiały drzwi.
Światła w izbie pogasiły. Skacząc po błocie
pluton ustawił się. Szef zameldował Puzia-
kowskiemu. Trzeci pluton stał obok na dro-
dze. W gęstej ciemności słychać było tylko
stłumione głosy; sylwetki zamazywały się.

Ruszyli szybko. Puziakowski nawet odli-
czać nie zaczął.

— Dookąd idziemy, panie poruczniku? —
spytał jakiś głos nieśmiało. — Czy to już
wymarsz na nowe miejsce?

— Porucznik nie odpowiedział.

Sierżant w wąską drogę koło miłna. Cias-
no było, że ledwo mieścili się po dwóch.
Kolumna wydłużała się. Droga opadała lek-
ko w dół. Ślizgali się i potykali.

Po blisko godzinnym marszu wyrosła
przed nimi wysoka ściana lasu. Doszli do
skraju drzew. Było tu cicho i prawie przy-
tulnie. Wiatr nie zawiewał, deszcz ze śnie-
giem zatrzymywał się na gęstej zasłonie
konarów.

— Stój! — zawołał szef donośnie.

Stanęli pod drzewami! rozżarzyły się
światła papierosów. Było chłodno — „za-
bijali” więc rękami jak dorożkarze na zim-
nym postoju.

— Ciepocy! — odezwał się Puziakowski
miętko i łagodnie — za chwilę ruszymy da-
lej!

Trzy sylwetki skupiły się przy nim. Bog-
dan rozpoznał Maślaka, Biedronkę z pluto-
nu Puziakowskiego i szefa.

— ... Ruszymy dalej, do prawdziwego
wojska polskiego! — ciągnął tym samym
miętkim i łagodnym tonem — do naszego
leśnego wojska! Jako polski oficer — głos
zadrżał mu dumą i paosem — jako praw-
dziwy polski oficer, nie zawiodę was! Nie
staniecie się bolszewickimi pacholkami!

Na kilka sekund przerwał, jak gdyby
wsluchując się w echo.

Nikt nie odezwał się słowem: deszcz szem-
rał monotonna.

— Żołnierze! Wasze miejsce jest w le-
sie! W lesie przeurwany krótki czas, a po-
tem będziemy rachować się ze zdrajcami.
Nie bójcie się! Na niczym wam nie będzie
zbywać! Nie jesteście sami. Mamy moc-
nych i bogatych przyjaciół. Pomogą!

— Obejmuję dowództwo oddziału party-
zanckiego imienia Bolesława Chrobrego!

Puziakowski przy ostatnich zdaniach po-
rucił łagodne pieścienie słów; mówił do-
nośnie, głos łamał mu się z przejęcia. O-
bok miejsca, gdzie stał, odezwały się po-
jedyncze oklaski. Wierciński wrzasnął:

— Niech żyje porucznik Puziakowski!
Niech żyje Cnrobry! Precz z pacholkami
Rosji!

Nikt nie podtrzymał okrzyku. Przez parę
sekund drgała napięta cisza. Trzasnęła
przydeptana gałąź. Pod cienkim, wyłysia-
łym świerkiem rozległ się szep i sapanie.
Kilka głów odwróciło się. W migającym o-
gieniu błysnęła przestraszona twarz Fron-
czaka: rozdziawił usta i wyłupił oczy.

Naraz pod którymś drzewem rozległ się
szczęk szarpniętego bezpiecznika i krzyk:

— Ludzie, do jasnej cholery! Nie dajcie
się tumanić! Z Hitlerem trzymaj!

Cholewa doskoczył do Puziakowskiego.
Zabrzmiał wystarcz. Kula świsnęła koło
uszu Wacka. Nie zdążył nacisnąć spustu.
Zaterkotała pojedyncza seria. Ktoś go u-
przedził. To Bogdan — nawet się sam nie
zorientował, jak automat już mu skakał
pod brodą.

— Żołnierze! Kto chce walczyć o Polskę,
za...

Puziakowski nie skończył. Czyjeś ręce
zatkaly mu gardło. Ktoś jęknął. Głos Wier-
cińskiego nawoływał, jak gdyby z drugie-
go brzegu:

— Szybko, szybko! Maślak, Biedronka,
gdzie...

Automat zatrzeszczał jak kamyki rozsy-
pane po dachu.

— Wykręć mu kikuty, gotów się jeszcze
wyrwać! — mówił po chwili Cholewa do
Burakiewicza.

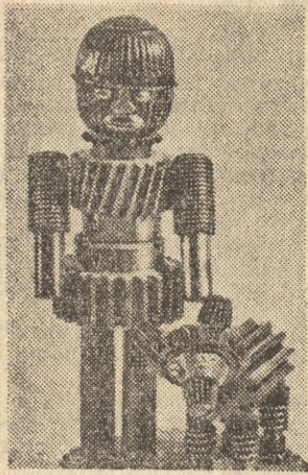
Bogdan stał przed Puziakowskim, który
aż charczał ze złości. Automat przyłożył
mu do brzucha. Puziakowski przewrócił
go wzrostem o dobre dwie głowy. Poruc-
znik wypychał wciąż chustkę z gardła i
wierzał nogami.

— Nie denerwuj się. Zdązysz jeszcze,
zdązysz. Gałazeczka na ciebie czeka — tu-
maczył mu łagodnie Franek Wiśniewski —
Chrobrego niedługo zobaczysz. Plunie ci w
twarz, fajdakul!

Wypchnęli Puziakowskiego na skraj. Plu-
tony uformowały się szybko.

Już w marszu, których złapał go za kłapę
płaszczu i chlupac po kostki w błocie po-
wiedzieli z pogardą:

— Oj, panku, panku, pomyliliście się...
mocnoście się pomylili...



Ostatnim krzykiem rzeźby amerykańskiej jest — robot. W Los Angeles np. żyje szereg rzeźbiarzy, dla których robot stał się ideałem i źródłem natchnienia w twórczości. Warsztatem dla nich jest — kuźnia kowalska a tworzywem — śruby, bółce, sworznie, puszki, tryby itp. Nasze zdjęcie przedstawia „dzieło”, które otrzymało I nagrodę na pewnej wystawie amerykańskiej.

Spoglądając na powyższą rzeźbę, łatwo teraz zrozumieć, dlaczego wszystkie inne dziedziny amerykańskiego życia artystycznego wyglądają tak samo.

Aleksander Macedoński i korsarz

Pewnego razu przed obliczem Aleksandra Macedońskiego stawiono pojmanego korsarza. — Jakim prawem — zapytał go wielki zdobywca — ośmielasz się napadać na morzach, rabować okręty i łodzie? — A ty — rzekł pojmany — jakim prawem pustoszysz cały świat? Ze przebiegam morze w samotnym, małym statku, traktujesz mnie jak pirata, ciebie zaś, który czynisz to samo z olbrzymią flotą, nazywają królem. Historycy opowiadają, że ta wyniosła i pełna odwagi odpowiedź, uratowała życie jeńcowi, którego król kazał zwolnić natychmiast.

Historia kluczyka od biurka

Gdyby nie ten kluczyk od biurka nikt by u nas nie mówił o Baboczce.

Kiedyś dano Baboczce biurko, lecz bez kluczyka od szufladki. Jako człowiek stateczny i orientujący się w rzeczach kancelaryjnych zaraz złożył o tym naczelnikowi oddziału meldunek. Jaka zapadła decyzja — nie wiadomo. Dość, że po upływie miesiąca kluczyka nie było. Wówczas Baboczka zażądał oficjalnie dania klucza. Jaki miał skutek ten urzędowy rekurs widać z tego, że i po dwóch miesiącach biurko się nie zamykało.

Wówczas Bonifacy Baboczka zdecydował się na nie-subordynację. Przybył na posiedzenie wydziału gospodarczego i poprosił aby mu dano zwykły kluczyk do najzwyklejszego biurka.

— Ależ człowieku — powiedział pobłażliwie naczelnik oddziału, mamy poważniejsze sprawy niż twój kluczyk. Widząc stroskaną minę Baboczki, dodał z uśmiechem: — No, cóż zrobić. Przybij na noc szufladkę gwoździem i nie martw się.

Lecz Baboczka nie uspokoił się. Nazajutrz na odprawie z całą powagą oświadczył, że dobro służby wymaga, aby miał kluczyk od biurka, a gdy minęły dalsze dwa miesiące Baboczka wystąpił na ogólnym zebraniu pracowników zakładu.

Krytyka miała ten skutek, że przewodniczący rady miejscowej oświadczył, iż sprawę kluczyka mógłby Baboczka wprost załatwić ze swoim kierownikiem oddziału i nie zabierać nikomu czasu na ogólnym zebraniu, że naczelnik wydziału gospodarczego zwrócił mu uwagę na niewłaściwość mówienia o kluczyku w epoce wielkich wydarzeń, że kierownik oddziału wyraził zdziwienie, iż Bonifacy Baboczka w ciągu pół roku nie potrafił zaopatrzyć się w kluczyk.

Po tym zebraniu zaczęto

mówić o Baboczce, jako zrzędzie i biurokracie.

Któregoś dnia zatelefonował do Baboczki naczelnik wydziału Gunaczek i zażądał niezwłocznego zwrócenia sprawozdania statystycznego.

— Ja go nie mam!

— Jak to „nie mam”? — zdziwionym głosem zawołał naczelnik.

— Ktoś wziął mi je z biurka.

W słuchawce zaharczało:

— Co? Wziął? Kto? Z biurka?!

— Nie wiem kto wziął. Biurko było nie zamknięte.

— Czy zdajecie sobie sprawę z wagi tego wydarzenia? Natychmiast sprawę wyjaśnić. Dokument musi się znaleźć!

Baboczka chrząknął niezdeterminowanie i odłożył słuchawkę. Powstała panika. Do pokoju Baboczki zbiegli się: naczelnik wydziału, na-

czelnik wydziału gospodarczego, kierownik oddziału i przewodniczący rady miejskiej.

Wołano:

— Jak można było trzymać tak ważny, tajny dokument w nie zamkniętym biurku.

— Zawezwać natychmiast ślusarza!

Po kilkunastu minutach w zamku szufladki tkwił kluczyk.

— No, dobrze! — z ulgą westchnął naczelnik wydziału gospodarczego, ale co za korzyść z tego kluczyka? Gdzie jest dokument?

— Owszem, korzyść jest wielka — powiedział Baboczka i z gestem magika wyciągnął z kieszeni poszukiwany dokument, lecz zaraz cicho dodał:

— A przecież mógł się nie znaleźć w mojej kieszeni. Czy nie tak?

(„Dikobraz” — tłum. fh)

Pierwszy dzień w szkole

W pierwszym dniu w szkole nauczycielka przemawia do dzieci.

— A więc widzicie dzieci, dotychczas tylko bawiliście się. Teraz zaczyna się dla was oprócz zabawy również i praca. Życie nie składa się z samych tylko przyjemności.

Na to mała Irenka.

— O przepraszam... Mój ojciec to ma same przyjemności.

— Jakto nigdzie nie pracuje?

— Pracuje przy budowie nowych bloków mieszkalnych dla robotników Zakładów im. Stalina i to mu codziennie sprawia wielką przyjemność.

★

Nauczyciel zwraca się do małego Wojtka.

— No opowiedz coś o sobie, Wojtku.

Na to wstaje chłopiec i recytuje:

— Ja należę do tak zwanej przyszłości narodu. Oczywiście społeczeństwa są dziś na mnie skierowane. Od tego jak wy nas nauczyciele wychowacie zależy bardzo wiele. Cięży na was poważny obowiązek wobec społeczeństwa. My młodzi jesteśmy jak plastelina, którzy będziemy lepieni waszymi rękami, wy rzeźbiarze naszych młodych dusz.

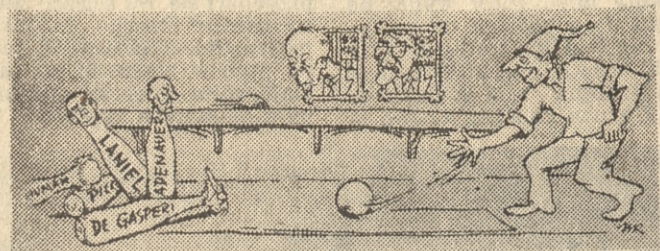
Nauczyciel patrzy zdziwiony.

— Wojtku, kto cię tego nauczył?

— Mój tatuś jest dziennikarzem i razem pisaliśmy artykuły na rozpoczęcie roku szkolnego.

zg

Wybory w Niemczech zachodnich



— No, teraz na ciebie kolej!

W Niemczech zachodnich odbywa się głosowanie. Adenauer zwraca się do jednego z biskupów.

— Jak tam sytuacja wyborcza.

— Ha, cały wyższy episkopat modli się o cud wyborczy. Adenauer zdenerwowany.

— Teraz zapóźno na modły. Teraz trzeba samemu robić cuda.

★

Adenauer wzdycha. Tak, robienie wyborów w interesie ciężkiego przemysłu — to nie jest lekka robota.

Hasło CDU. Jeżeli wybory nie będą prawdziwe, to niech będą przynajmniej dobrze zrobione.

★

Katolicy niemieccy będą głosować za CDU — zapewnia Adenauer jeden z działaczy, zbliżonych do wyższej hierarchii kościelnej.

— To jest rachunek robiony bez gospodarza zauważył ktoś — (ohne Wirth).

Jak wiadomo działacz katolicki dr Wirth — jest przywódcą Związku Niemców i przeciwnikiem polityki Adenauera.

GROT

„FOR EXPORT ONLY”

Pani Atkinson jest żoną eksportera konserw rybnych i mięsnych. Ostatnio urządziła niewielkie przyjęcie. Było trochę kłopotu, bo przyjęła nową kucharkę, która nie bardzo jeszcze o-orientowała się w swych nowych obowiązkach.

W czasie kolacji pani Atkinson zabrała na chwilę do kuchni. Wzrok jej padł na otwarte pudełko od konserw.

— Katty — toś ty otworzyła te konserwy?...

Kucharka spojrziała zdumiona na gospodynię.

— Kazała pani otworzyć konserwy z mięsem wołowym...

— Ależ dziewczyno — coś ty narobiła... Trzeba telefonować po lekarza.

Pobiegła do telefonu.

— Panie doktorze — stało się nieszczęście. Nie wiem, czy nie będzie trzeba przeprowadzić u nas płukania żołądków. Niech pan sobie wyobrazi... Przyjęliśmy nową służącą. Taka gapa nie orientuje się... Otóż mamy zapas zepsutych konserw mięsnych.

Trzymamy je dla psów. A ta ku-

charka otworzyła je — i podała do stołu... Zjedliśmy nie wiedząc co jem...

Lekarz zapytał rzeczowo. — A skąd służąca mogła wiedzieć, że to są zepsute konserwy?

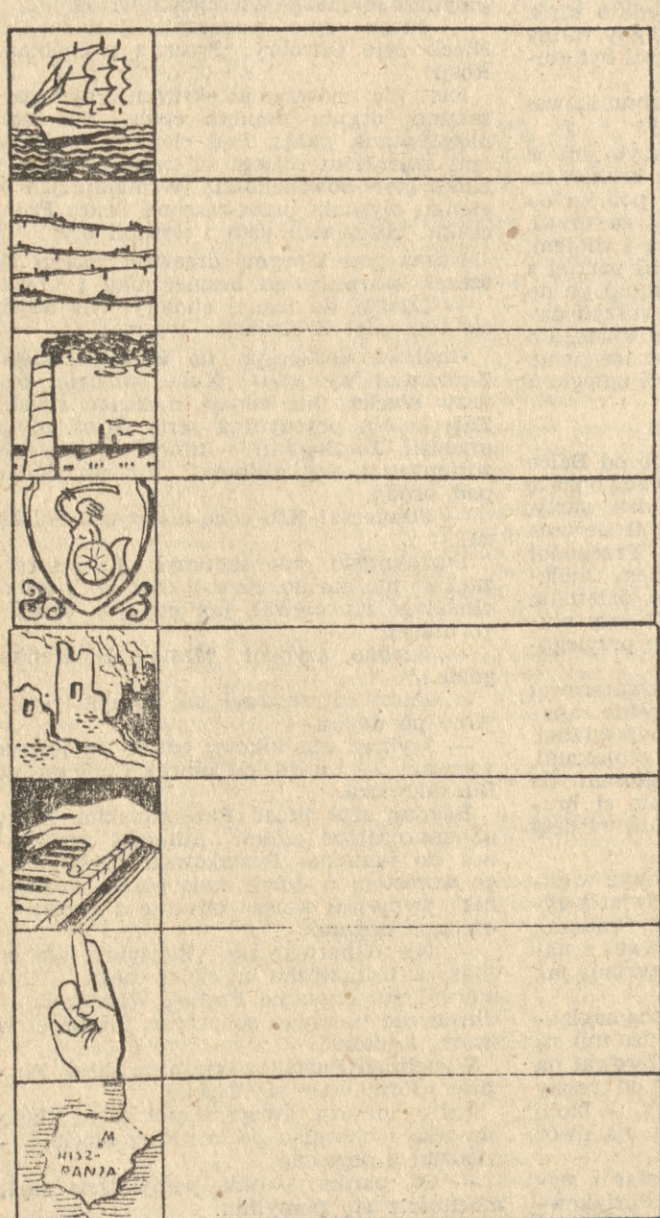
— Ależ jasne. Na każdej pusce był napis „Only for export”.

„Tylko na eksport”. Właśnie mąż wysłał większą ilość tych puszek do Grecji, a teraz musimy wysłać je do Niemiec, jako pomoc. Takie nieszczęście...

★

PS. Historia pani Atkinson nie jest wyssana z palca. USA dostarczyły do Niemiec zachodnich skrzynie z kukurydzą całkowicie zepsutą, którą przeleżała w magazynach przez 5 lat. Na każdej skrzyni widniał napis „Only for export” („Tylko na eksport”). Ostatnio zaś USA dostarczyły Grecji ładunek zepsutych konserw rybnych i mięsnych.

Zamieszczone obok zdjęcia pochodzą z ośmiu najbardziej znanych filmów polskich. Do każdego zdjęcia, oznaczonego numerem, przynależy symboliczny rysunek, który w znacznej mierze ułatwi przypomnienie tytułu filmu. Zadaniem uczestników konkursu jest więc wpisanie tytułu filmu obok właściwego symbolu, przy czym uporządkować należy numerację. Rozwiązania prosimy przysyłać do redakcji „Głosu Wielkopolskiego” do dnia 14 września br. Między czytelników, którzy nadesłali trafne rozwiązania rozlosowane będą liczne cenne nagrody m. in. teczka skórzana, abonamenty kinowe, książki itp.



• KONKURS FILMOWY • PRZYPOMNIJ SOBIE

